Rok I. We Lwowie. Dnia 10. Września 1894. Nr. 17.

SŁOWO POLSKIE

DWUTYGODNIK

POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, POLITYCE, LITERATURZE I SZTUCE.

Prenumerata we Lwowie:		Prenumerata z przesyłką:	
rocznie	12 koron (6 złr. — ct.)	rocznie	13 koron — ct. (6 złr. 50 ct.)
półrocznie	6 „ (3 „ — „)	półrocznie . . .	6 „ 30 „ (3 „ 30 „)
kwartalnie	3 „ (1 „ 50 „)	kwartalnie . .	3 „ 15 „ (1 „ 65 „)

Cena jednego numeru 30 ct.

Prenumerować można w Administracyi pisma, w Biurach Dzienników oraz we wszystkich księgarniach lwowskich i prowincyonalnych.

Redakcya i Administracya mieści się przy ulicy Kopernika l. 6.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Król Filip VII czy Ludwik Filip II? — Do czego teatr doprowadza. — Kobursko-burbońska dynastya i jej zachcianki. — Ogólna przegrana Austro-Węgier na Wschodzie i madjarscy winowajcy. — Na nas się wszystko skrupi. — Japońskie zwycięztwo i polska praca organiczna na Wschodzie.

Hrabia Paryzki umarł 8 września i po jego śmierci objął ster stronnictwa burbońskiego we Francyi ciekawy »schyłkowiec«, książę Ludwik Filip Orleański godny, przedstawiciel tej dynastyi, która doprowadziła Francyę w niespełna 300 lat, ze stanowisko pierwszego na świecie mocarstwa, władczyni Ameryki północnej, Indyi i t. d. do tego, czem ona jest w chwili obecnej. Młody pretendent odznaczył się już w dziejach ojczystych arcyzabawnym epizodem, który warto czytelnikom przypomnieć. Z powodu niezręcznej intrygi jego ojca z awanturnikiem Boulanger'em, intrygi opłaconej, notabene, kilku milionami franków, pobyt we Francyi był mu wzbroniony; młody książę przyleciał jednak do Paryża w pogoni — za aktorką, a kiedy go policya schwyciła, udał, że przyjechał — zaciągnąć się do wojska rzeczypospolitej (!) Wysiedział za to kilka miesięcy w kozie, i grzecznie oswobodzony przez Carnota, ciągnął dalej do teraźniejszej chwili swoje teatralne polowania. Nie dziw, że uosobieniem rodu, który wydał Ludwika XV, ks. Artezyjskiego i innych podobnych bohaterów, jest takie indywidyum; ale trzebaby się dziwić temu, że znajduje stronników i wyznawców, — gdybyśmy nie wiedzieli aż nadto, że ludzie gotowi się kłaniać każdemu bałwanowi, byle złotodajnemu. Pomimo wojowniczego manifestu nowego francuskiego »króla«, zdaje się, że dla teraźniejszej rzeczypospolitej, aczkolwiek nader przez się wątłej i nieokreślonej, wcale niebezpiecznym nie będzie; nie taki przecież *Figaro* może go na tron posadzić, a sympatya paryzkich kokotek i naleciałych »wielkich pań« nie wiele mu pomoże. Jeźli się zdobędzie na jakieś zamachy, wszystko się skończy, zdaje się, operetką.

Taką samą operetką trącą na drugim końcu Europy dynastyczne zachcianki drugiego księcia i Ferdynanda, Bułgarskiego Władzcy. I tu także znać burbońską dziedziczność. Skoro się ks. Koburski ożenił z córą niezliczonych królów i książąt, zachciało mu się koniecznie prawdziwej, uznanej, a nie samozwańczej (jak mówią Moskale) dynastyi, i dla tego poświecił prawdziwego twórcę bułgarskiej niezawisłości, demokratę Stambułowa, zaczął się kłaniać Petersburgowi i zaigrywać z Cankowem i innymi podobnymi „prawosławnymi«. Skończyło się na tem, że skompromitował się wobec Rosyi, wobec Europy i własnego kraju, naraził sobie Austryę, a obiecanego uznania nie dostał.

Cankow i inni moskalofile przymusili rząd bułgarski zbyt ostrem wystąpieniem do wyparcia się ich carskich tendencyi, a zniewaga wyrządzona Stambułowowi przed sądem przez motłoch, pod protekcyą książęcej policyi, obrzydzi ostatecznie młodego księcia wszystkim prawdziwym patryotom. Nigdy widać siedzenie na dwóch stołkach zwy kłemu śmiertelnikowi na dobre nie wyjdzie.

W każdym razie zwrot w bułgarskiej polityce należy do rzeczy dla Austryi] ardzo nieprzyjemnych, i cała jej przewaga na Wschodzie została ostatecznie zachwianą. Główna wina w tych niepowodzeniach musi być przypisana Węgrom. Postępowanie madjarskich szowinistów z Rumunami, z Serbami, z Bośnią i Hercegowiną rozdrażniło wszystkie ludy naddunajskie i bardzo jest dla celów moskiewskich korzystnem. Węgierska buta nikomu spokoju nie daje, oburza i nas, z powodu Morskiego Oka, i Czechów za niesłychany ucisk Słowaków i samych nawet Niemców, bo ich handlowym interesom na Bałkańskim półwyspie nader szkodzi niechęć wywołana przez ultra madjaryzatorów. Kiedy nasi wielcy galicyjscy mężowie stanu szczycą się teraz takim ogromnym wpływem na austrowęgierską politykę (tak przynajmeiej ich pocieszają wiedeńscy centraliści) powinni przynajmniej użyć tego wpływu dla temperowania madjarskich zapędów, bo inaczej bardzo nieszczególnie na nich wyjdziemy. Nie śmiemy się jednak spodziewać od naszych ministrów takiego śmiałego wystąpienia. Wszystko się składa na to, by Moskwa jeszcze raz skorzystała z naszych omyłek i z naszego niepoprawnego dyplomatyzowania. Cesarz Wilhelm, który się ma podobno spotkać z Aleksandrem III. w Skierniewicach, nader wojowniczo wywija mieczem Hohencolernów w Królewcu, a Bismark nam aż nadto jasno tłómaczy, że ostrze tego miecza powinno być głównie skierowane przeciw nam, Polakom; to przynajmniej pewna, że na teraz wcale Moskalom nie grozi, a wyłącznie w r o g o m w e w n ę t r z n y m. Biedna ta nasza Polska! komu się zmełło, a nas się wszystko skrupi; i papiezka ugodowa polityka, i niemiecka wielkopaństwowość, i madjarski szowinizm, i koburska dynastyczność i Rumuńskie odrodzenie — i nawet takie dalekie wstrząśnienia, jak wojna chińsko-japońska. *Vae victis!*

Jakeśmy przepowiedzieli, Chinczycy zostali ostatecznie przez Japończyków w Korei pobici i wątpić można, czy zdołają choć w części powetować taką przegraną. Sztab bogdychana, kilku generałów i 14000 wojska znajdującego się, jak zwykle, pod zbawiennym wpływem indyjskiego opium, dostało sią do japońskiej niewoli i cała Korea dostanie się prawdopodobnie zwycięzcom. Że Moskwa na tem skorzysta, rzecz aż nadto oczywista, ale zawcześnie byłoby stawiać jakiekolwiek pod tym względem wnioski. To pewna, że Rosya ciągle się na wschodzie wzmacnia, a nikt jej zapor stawiać nie myśli. My zaś, jako inżynierowie, urzędnicy, kupcy i oficerowie, jako nawet podróżni i odkrywacze, najskuteczniej jej pomagamy, stwierdzając takim sposobem całą nieocenioną wartość p r a c y o r g a n i c z n e j. Kto chce iść tą samą droga, niech jedzie natychmiast budować wielką kolej syberyjską a dość tam znajdzie rodaków.

SPRAWY POLSKIE.

Walka z germanizacyą.

(Szkice z X. Poznańskiego),

napisał *Izydor.*

(Ciąg dalszy).

Obiecujący monarcha dotychczas żadnego politycznego nie zdał egzaminu — i nikt wiedzieć nie może, czy zdanie Sieysa o Napoleonie, że chce, może i umie wszystko sam robić, odnosi się do niego więcej niż w pierwszej swej części. Wiemy, że chce, nie wiemy jednak, czy umie i może. Powiedzieliśmy wyżej, że młody cesarz nikogo jeszcze nie zadowolnił cofamy to zdanie choć w części, zadowolnił pewną liczbę Polaków i to tak dalece, że między nimi właśnie pojawiła się w obecnych czasach t. zw. partya dworska — stronnictwo cesarskie. Ze wszystkich niespodzianek, jakie nam ostatnich lat kilka przyniosło, ta jest pewno najbardziej zdumiewającą. My, za czasów Bismarka wiecznie przez rząd jako »Reichsfeinde« piętnowani, dziś nagle stajemy się podporą tronu, »eine Staaterhaltender Par-

tei«. Jakże nam tego zazdrościć muszą owe narzędzia Bismarkowskiej przemocy z czasów walki kulturnej — narodowo-liberalni, i owe bicze, któremi nas chłostał w czasie swej ostatniej antipolskiej kampanii: konserwatyści! Jakże do tego dojść mogło nareszcie, zapyta niejeden, czemże zdobył sobie nasze serca nowy władca? Gdybyśmy policzyli zdobycze, które zawdzięczamy »nowemu kursowi« nie znaleźlibyśmy nic takiego, coby nasze wiernopodańcze uczucia usprawiedliwić mogło. Mamy arcybiskupa Polaka i swobodę nauczania dzieci naszych po polsku po za szkołą i własnym kosztem. Oto wszystko! Te dwa wielkie dobrodziejstwa zapłaciliśmy bardzo drogo, darowaliśmy cesarzowi kilkadziesiąt tysięcy żołnierza i pieniądze na utrzymanie zwiększonej armii. Przyznajemy, że trochę słona cena za bardzo skromny nabytek. A jednak Polacy są zadowolnieni! Mój Boże! biedakom mało do zadowolnienia potrzeba, cały sekret ich szczęścia polega na tem, aby nie bardzo cierpieli i o to dzięki czemu naraz poczuliśmy afekt dla tronu Hohenzollernów: przestano nas bić. Jessto istotnie jedno jedyne ważne ustępstwo. jakie nam uczyniono. Nie kują się obecnie w kuźni prawodawczej nowe na nasze karki jarzma, nie kręcą nowego na nas bicza, nie żyjemy pod strachem ciągłych plag egipskich, sypiących się jak z rogu obfitości za bismarkowskiej ery, więc jesteśmy zadowolnieni, bardzo zadowolnieni. Póki nas prześladowano, tępiono wydalano, wyszydzano wreszcie publicznie —' całą energię naszą, cały zapas sił zwracaliśmy przeciw naszym prześladowcom, dla obrony praw naszych; dziś choć położenie nasze mało się zmieniło, choć wszystkie dawniejsze środki germanizacyjne nic ze swej prawomocności nie utraciły, przez wdzięczność dla rządu, który jest tak łaskawym, że nam daje pokój, troszczymy się o wielkość państwa, o siłę jego nazewnątrz, o interesy cesarstwa niemieckiego! Uczucia te i poglądy nie są zresztą bynajmniej uczuciami i poglądami całego społeczeństwa naszego, lecz tej jego cząstki, która się do partyi dworskiej zalicza, a niestety w parlamencie niemieckim bardzo licznie reprezentowaną była i uznała za stosowne cały naród niemiecki i swych poznańskich ziomków wielkim podatkiem na armię obarczyć. Że tym razem deputowani nie byli bynajmniej tłomaczami życzeń swych wyborców dowodzi fakt, że wszyscy nieomal otrzymali mandat pod warunkiem, że za reformą wojskową głosować nie będą. Jeden tylko z nich żądanie swych wyborców uwzględnił i temu jednemu właśnie zarzucono, że zerwał solidarność polską, choć właściwie zarzut ten zrobić by można raczej wszystkim innym, gdyż oni zerwali solidarność z narodem, który reprezentują. Głównym przedstawicielem polityki t. zw. ugodowej, która u nas w ostatniej zrodziła się epoce, jest znany powszechnie z pewnego rodzaju rozgłosu p. Kościelski. Musimy mu oddać tę sprawiedliwość, iż zainaugurowany przez niego kierunek wcześniejszym był niż pojawienie się »nowego kursu« na politycznym horyzoncie.

Wstąpił on na widownię życia publicznego jeszcze w pełni Bismarkowskiej epoki i od razu zaczął uprawiać swą politykę ugodową, z początku zupełnie na własną rękę. W Berlinie robił sobie stosunki między znakomitościami miejscowemi, odwiedzał ministrów — bywał na książęcych salonach, prowadził dom otwarty i wiele osób przyjmował. Żartowano sobie tam potrosze z jego ambicyjek, próżnostek, lawirowania między rządem a narodem i kroków przyjacielskich względem dworu i ministrów żartowano tym więcej, że były nie na dobie. Polaków raziły one — Niemcy o nie nie dbali. W czasie antipolskiej kampanii Bismarcka, p. Kościelski przemawiał parę razy bez powodzenia. Kanclerzowi na jego wprost niesmaczne wycieczki odpowiadał zapewnieniem, że bądź co bądź my zawsze pozostaniemy wierni naszej zachodniej cywilizacyi, w izbie panów wyrzekł taką mowę, że Niemcy sami nie mogli się zoryentować w imię jakiego przemawia stronnictwa, gdyż raz stawał po stronie rządu, raz znów w obronie swych ziomków. Słowem, z pomiędzy wielu dróg jakiemi ludzkość do celów swych kroczy on upodobał sobie dróżkę wężykowatą, dozwalającą zawsze zejść na prawo lub na lewo w miarę potrzeby, nigdy jednak zbyt daleko od pewnego kierunku się nie odsuwając. Jak wiadomo, pierwsze jego wyznania wierności przyjęte były chłodno i niczem na bieg wypadków nie wpłynęły. Nie dbając o to czy wschodnią czy zachodnią cywilizacyą wolimy, Polaków wydalono. wykupywano ich ziemię, obostrzano przepisy językowe, słowem, działo się tak, jak gdyby pan Kościelski żadnego do państwa niemie-

ckiego nie czuł przywiązania. Dopiero po dwukrotnej zmianie tronu, po ustąpieniu Bismarka, gdy jakoś przychylniejszy wiatr wiać począł, nastało i dla p. K. piękna w życiu epoka. Młody monarcha, wdzięczny za gorliwą opiekę nad swemi ukochanemi pancernikami obdarował kilkakrotnie ich parlamentarnego obrońcę pięknem malowidłem, wreszcie polubił go i oboje pp. K. zaczęli bywać stale na dworze. Za gorliwą obronę floty niemieckiej ziomkowie obdarzyli go żartobliwym tytułem admirała cywilnego, za głosowanie w sprawie reformy wojskowej cesarz odwdzięczył się udzieleniem orderu. Podobno nietylko pierwsze, lecz i drugie odznaczenie nie w smak poszło przywódzcy ugodowej partyi. Łatwo w to zresztą uwierzyć. Ludzie prowadzący tego rodzaju politykę*), zasadzającą się na budowaniu złotych mostów między dwoma przeciwnemi lądami, muszą z konieczności dbać o oba brzegi, które połączyć usiłują: o łaski dworu i wpływ w rządzie z jednej i o popularność wśród swoich z drugiej strony. U nas ordery mają tak smutną tradycyę, że ozdabianie się niemi bynajmniej uroku człowiekowi nie dodało; słusznie też obawiał się pan K., że ta dekoracya poniekąd szkodzić mu może wśród wyborców. Istotnie nie najlepsze zrobiła ona wrażenie, zwłaszcza że cesarz, składając tak wymowny dowód wdzięczności jednostce, niczem nie wynagrodził narodu, którego zasobami materyalnemi taż jednostka na własną rekę rozporządzać się poważyła. Czytaliśmy wprawdzie w pismach szumne podziękowania dla Polaków, którym młody monarcha zwiększenie swej armii zawdzięcza, zredagowane zresztą w tak niezręczny sposób, że Niemców wszystkich przeciw nam rozdrażnić mogło; po za temi pięknemi słówkami nie otrzymaliśmy dotąd nic więcej, z czystem sumieniem więc twierdzić można, że polityka ugodowa dotychczas żadnych nam nie przyniosła korzyści. Najbliższym jej rezultatem jest w obecnej chwili wielkie wśród społeczeństwa rozgoryczenie i walka różnych żywiołów w skład jego wchodzących. Zaostrzyły się namiętności, wzrosły wzajemne niechęci, różnice zdań doprowadzają do walk zawziętych, do kłótni gazeciarskich nieutrzymywanych bynajmniej w parlamentarnym stylu. Sprawy stoją na ostrzu noża i niedaleka zapewne przyszłość okaże po czyjej stronie pozostanie zwycięztwo. Liczebnie partya ugodowa stanowi wyraźną mniejszość, mogłaby jednak zyskać przewagę gdyby zdobyła jakieś ważne dla narodu korzyści i dowiodła tym faktem, że właściwą wskazała mu do poprawy bytu drogę. Na to się dotychczas nie zanosi. Wszelkie pogłoski o ustępstwach dla nas, wprowadzeniu języka polskiego do szkół np. spotykają się zawsze ze strony osób rządzących z uroczystemi zaprzeczeniami. I nie dziw — tyle razy usługi nasze darowywaliśmy darmo, że nikt nie widzi obecnie potrzeby płacenia nam za nie. W obec tego nie można rokować naszym ugodowcom zbyt długiej politycznej karyery, przypuszczać należy, że ustąpić będą musieli wkrótce swych wpływowych stanowisk ludziom nowym a w miejsce »Prusaków po polsku mówiących« (tak nazwał się p. Kościelski w parlamencie) wstąpią w polityczne szranki istotni Polacy nie tylko językiem, lecz charakterem i tradycyą różniący się od swych niemieckich kolegów.

Chwila obecna jest więc dość ważnym w dziejach naszych przełomem, jest poniekąd wewnętrzną rewolucyą, w której różne ideje o pierwszeństwo walczą, dla tego też panuje u nas pewnego rodzaju chaos i zamęt a z niego dopiero nowy porządek rzeczy wyłonić się może Spowodowała ją w znacznej mierze i konieczność przystosowania się do cokolwiek zmienionych warunków zewnętrznych. W ubiegłej epoce bismarkowskiej wyrobiła się w naszem kole poselskiem pewnego rodzaju stała taktyka, której trzymano się tradycyjnie, przeciwstawiając ją taktyce ks. kanclerza. Ze zwrotem prądu u góry należało i w swoich planach wprowadzić pewne zmiany, lecz zabrano się do tego niezręcznie, przeholowano w kierunku nowym, aż doszliśmy do tej anomalii, że pośród siebie mamy partyę dworską i po polsku mówiących Prusaków. Po prostu obrażona godność narodowa dopomina się o swe prawa i słuszną byłoby rzeczą, aby ster spraw naszych dostał się w ręce, które jej bronić zdołają. Widok obecnych kłótni, walk i sporów mógłby podsunąć pewną wątpliwość co do owej solidarności, na której, jak wyżej pisano, opieramy naszą siłę, jednakże jeden fakt wymowny starczy jako

*) W Galicyi nazwanoby ją stańczykowską, pod zaborem rosyjskim nosiłaby nazwę telimenizmu.

argument. Au beau milieu naszej wewnętrznej rewolucyi przypadły wybory do sejmu i zyskaliśmy dwa krzesła. Stwierdza to nasze zdanie, iż jakkolwiek dzielą nas w domu zatargi — nazewnątrz jesteśmy zawsze jednem zwartem stronnictwem.

III.

Prasa polska pod zaborem pruskim.

Do zapoznania czytelników z umysłowemi i politycznemi prądami panującemi wśród polskiej ludności kresów zachodnich, najlepiej posłuży ogólny przegląd pism polskich tamże wychodzących. Z natury rzeczy wynika, iż w nich, jako organach różnych klas i stronnictw, odzwierciadlają się wszelkie odcienie politycznych dążeń i przekonań.

Zaznaczyć należy, iż konstytucya cesarstwa zapewnia prasie bardzo daleko sięgającą swobodę. Nasi władcy widocznie nie obawiają sie tak dalece drukowanego słowa, aby na wzór rossyjski umysłowy pokarm swych poddanych przesiewać przez gęste sito cenzury. Pozwalają im żywić umysł wedle upodobania i tylko w razie znaczniejszych wykroczeń prasowych wytaczają redaktorowi danego pisma proces, grożący karą pieniężną lub aresztem. Do tego rodzaju wykroczeń zalicza się w pierwszym rzędzie obraza majestatu lub ubliżające o ministrach i innych wysoko postawionych osobach wyrażenia, dalej jakieś otwarte podżeganie do buntu lub zamachu na rząd istniejący. Po za tem wszystko, co dotyczy ogólnych poglądów, dążeń, przekonań, wyrażenie choćby najgoręttszych patryotycznych uczuć, krytyka choćby najśmielsza obecnego stanu rzeczy zupełnie jest dozwoloną i żadnych ograniczeń ze strony sfer rządzących nie doznaje. Wreszcie sam fakt, że cenzura prewencyjna nie istnieje, sprawił, iż w rzeczywistości wszystko drukować a nawet czytać można Choć czasem redaktor za jaki niezręczny artykuł kilka miesięcy pod kluczem posiedzi, nie przeszkadza to bynajmniej jego czytelnikom dany artykuł z rąk do rąk sobie podawać. Istnieje wprawdzie przepis, aby jeden egzemplarz każdego numeru składać w biurze policyjnym, ponieważ jednak nie zastrzeżono, aby czynić to przed wypuszczeniem reszty numerów z drukarni, zatem, choć komisarzowi policyi służy prawo pozostałe egzemplarze skofiskować, zazwyczaj i on czyta pismo już natenczas, kiedy je do rąk dostali czytelnicy. Małą resztkę ograniczeń prasowej swobody na odpowiedzialności osobistej redaktora polegającą umieją zresztą dziennikarze obchodzić w sposób bardzo prosty Jako redaktor odpowiedzialny podpisuje się na gazecie człowiek, którego wyłącznem, a przynajmniej najważniejszem zadaniem, jest dźwiganie na swych barkach ciężaru prasowych wykroczeń, króciej mówiąc, odsiadywanie kozy w nieszczęśliwych wypadkach. Stanowisko takie bywa stosunkowo do wymaganych kwalifikacyi nieźle płatnem, boć na to, aby siedzieć w areszcie, wysokich nauk posiadać nie potrzeba. Gdy jeden redaktor zostanie w ten sposób zneutralizowanym, gazeta najmuje sobie nowego i wszystko idzie zwykłem trybem. Powiadają o jednem z pism poznańskich, iż w czasie walki kulturnej miało równocześnie czterech redaktorów odpowiedzialnych pod kluczem a piątego na wolnej stopie do podpisywania swego nazwiska na piśmie. Tego rodzaju urządzenie zapewnia dziennikarzom najzupełniejszą swobodę pióra. Krępować by ich wprawdzie mógł wzgląd na to, że za śmiałe wyrażenia czasem gotówką płacić trzeba, jestto jednak pozorna tylko przeszkoda, gdyż takie kosztowne artykuły niekiedy w zwiększonej ilości prenumeratorów nadetatowy wydatek pokrywają. W rzeczywistości więc utrzymuje się dotychczas w państwie pruskim zasada dobitnie przez Fryderyka W. streszczona: »Ja robię, co mi się podoba. a moim poddanym pozwalam mówić, co im się podoba«. Należy przyznać, iż tego rodzaju porządek rzeczy jest niesłychanie dla nas pożądany i daje nam w ręce broń potężną. Dzięki wolności prasy możemy idee patryotyczne propagować śmiało, odważnie, nieustannie, możemy budzić ducha we wszystkich warstwach narodu i we wszystkich okolicach niemieckiego państwa, które ludność polska zamieszkuje. Dzięki jej wszystkie sfery i wszystkie odłamy narodowości naszej mogą brać udział w życiu politycznem, udzielać sobie wzajemnie rad, wymieniać myśli, wypowiadać życzenia. Jest ona wreszcie poniekąd czynnikiem umoralniającym, przyzwyczaja ludzi do jawności postępowania, do rachowania się z opinią ogółu,

do ponoszenia odpowiedzialności za swoje czyny. Leży nawet w dobrze pojętym interesie rozumnego rządu, gdyż pozwala mu bez pośrednictwa szpiegów badać nastrój umysłowy poddanych, zdawać sobie sprawę z ich dążeń i pragnień, wreszcie liczyć się z nimi.

Społeczeństwo nasze umiało wartość pozostawionej sobie broni ocenić i nie zaniedbało z niej korzystać, wyznać jednak trzeba, iż wyzyskuje ją cokolwiek jednostronnie. Jak powiedzieliśmy wyżej, całe życie zachodnich dzielnic polskich skupia się wyłącznie w jednym kierunku. Nie dać się zniemczyć, to streszczenie wszystkich naszych dążeń. Obrona narodowych interesów stanowi bez kwestyi najważniejszą, najżywotniejszą dla nas sprawę i tak pochłania wszelkie nasze moralne i umysłowe siły, że nie pozostawia miejsca na nic innego. To też wszystkie pisma nasze wychodzące, czy to w Poznańskiem, czy w Prusiech Zachodnich, czy na Szlązku lub Warmii wreszcie, są wyłącznie polityce i sprawom miejscowym poświęcone. Po za dziennikami politycznemi istnieje zaledwie parę pisemek specyalnie rolniczych. Czynione nieraz prośby stworzenia jakiegoś literacko-naukowego tygodnika *) nie doprowadzały do żadnego pomyślnego rezultatu. Brakło lepszych sił autorskich miejscowych, zakordonowi literaci nie popierali pism, które im żadnych materyalnych nie dawały korzyści, a na płacenie sutych honoraryów nie dozwalały skromne dochody od bardzo nielicznych prenumeratorów wpływające. Jest zresztą rzeczą wielce wątpliwą, czy przy najlepszych chęciach nawet możnaby trudności z samego położenia rzeczy wynikające pokonać. Cenzura rossyjska, choć krępuje niezmiernie literacką produkcyę Warszawy, stwarza dla niej jednak pewnego rodzaju monopol. Na trzech czwartych przestrzeni ziem polskich rozchodzą się wyłącznie cenzuralne pisma przez co znaczna większość polskich czytelników tylko z nich swój umysłowy pokarm czerpać może. Ztąd też po za kordonem rossyjskim piśmiennictwo polskie żadnych zysków materyalnych przynosić nie może. Jeśli nawet, co zresztą rzadką jest rzeczą, zbudzi się w Poznańskim jakiś lepszy talent pisarski i zapragnie na literacko-naukowem polu zabłysnąć, to nie widząc na miejscu żadnych pomyślnych dla siebie widoków, przedewszystkiem w warszawskich tj. najlepiej materjalnie postawionych pismach zaprodukować się pragnie. Zresztą czytelnicy pism poznańskich rekrutują się w znacznej większości ze sfer średnich i niższych. Tak zwana inteligencya stanowi tam zaledwie małą garstką w zestawieniu z całym czytającym i politykującym tłumem, dla tego też i najlepszy nawet tygodnik w najszczęśliwszych wypadkach zaledwie dziesiątą część tej liczby czytelników mógłby zdobyć, na którą liczyć może śmiało dziennik polityczny. Wynika ztąd całkowita na polu literackiem posucha i zupełny brak umysłowego życia po za sferą czysto lokalnych i politycznych interesów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

(*) Szkice niniejsze były pisane przed założeniem *Przeglądu Poznańskiego*, wychodzącego od 1 kwietnia b. r. (*Przyp. Red.*)

POWIEŚĆ i POEZYA.

Malarz z Poręby.

Obrazek z życia ludu galicyjskiego.

napisał *Kroć*.

(Dokończenie).

Franek zmęczony wszedł do jakiegoś szynku za rogatką. Wypił kufel piwa, zakąsił chlebem, który mu się jeszcze z domu pozostał, odpoczął i chciał wychodzić. Wpierw jednak musiał zapłacić, nie miał nic drobnych, więc dał szynkarzowi dziesiątkę i do tego jedną z podrobionych. Spostrzegł to dopiero wtenczas, gdy szynkarz miał dziesiątkę w swoich rękach. Odmienić nie było jak, chciał już uciekać, ale pomyślał sobie — nuż się uda?.. Stał spokojnie, chociaż z oznakami widocznego zaniepokojenia na twarzy, oczami tylko śledził papierowy pieniądz, — co też z nim się stanie?.. Szynkarz miał ten zwyczaj, że zawsze pieniądz za nim rzucił do szuflady, w palcach wyprobował i do światła przeglądnął. Tym razem tylko wziął, nawet do światła nie patrzał, bo poczuł już w ręku odmienny papier. Oczy mu się zaiskrzyły jak u żbika, skoczył do okna i zaczął się banknotowi lepiej przyglądać..

Franek zbladł jak trup... nogi zaczęły mu się trząść całe, a oczy łzą zapłynęły.

— Skądżeś to? — odskakując od okna i chwytając za rękę chłopaka, pytał szynkarz.

Franek zaczął się jąkać.

— Kto ci dał te pieniądze? gadaj zaraz!..

— Nie ja robiłem... nie ja.. mój łaskawy panie!.. wołał Franek, blednąc coraz więcej.

— Ja wiem, że nie ty, mów tylko, kto ci dał?.. Franek ani słowa nie mógł wymówić. Ludzie tymczasem będący w szynkowni, zaczęli się gromadzić i przyglądać fałszywej dziesięcioreńskówce.

— Ale to jakiś gałgan sprytny, jechał go sęk!...

— I jeszcze dał takiemu głupiemu chłopakowi.

— U niego widać na tabakę takie, ścierwo pańskie!.. ale czem ta kanalija tak drukuje?..

— Uczony już jest do tego.

— Widzicie go!.

— A może masz jeszcze więcej takich? — spytał jakiś otyły rzeźnik i zaczął szukać za pazuchą u chłopaka, aż znalazł chusteczkę z pieniądzmi. Jakież było zdziwienie obecnych, gdy jeszcze dwa podobne banknoty zobaczyli. Franek widząc, że źle z nim będzie, nie namyślając się długo, gdy ludzie zajęci byli oglądaniem pieniędzy przy oknie, chciał się ratować ucieczką i jednym susem był już za drzwiami szynkowni.

— Uciekł!.. — krzyknął pierwszy gospodarz.

— Łapaj!.. — zaczęli wołać i inni, puściwszy się za uciekającym w pogoń. Na skręcie ulicy dopędzono Franka. Policjant, dowiedziawszy się o co rzecz idzie, zaprowadził płaczącego i struchlałego chłopaka do ratusza, gdzie też i fałszowane pieniędze złożono. Nie długo zjawił się komisarz i przeprowadzono zaraz z nim śledztwo. Przestraszony Franek długo nie mógł przyjść do słowa, w końcu dopiero, gdy mu zagrożono, że będzie bity, przyznał się do wszystkiego.

— Więc kto ci dał te pieniędze? — spytał komisarz surowo.

— Nikt! — odpowiedział drżącym głosem Franek.

— Ej! chłopaku, mów prawdę bo źle będzie..

— Nikt:.. tylko...

— Jakto nikt? sameś przecie nie fałszował, ciemięgo!

— Sam!... Krótko odpowiedział zapytany. Komisarz nie wiedział, co ma robić z tą odpowiedzią. Czy wierzyć chłopakowi, czy nie wierzyć? czy go bić za kłamstwo, czy dalej pytać? I z pewnością by go uderzył za jego ostatnie słowo, które prędzej patrzało na drwiny jak na przyznanie się do zbrodni, gdyby nie dalsze tłomaczenia Franka, które pana komisarza o istocie rzeczy przekonać musiały. Franek mówił dalej:

— Pan sędzia widzę nie wierzą, to proszę, tu mam i moje rysunki ze sobą. — I chwiejącą ręką wyjął teczkę z za koszuli i podał ją komisarzowi.

Komisarz ze zdziwieniem oglądał ręką chłopca, w siermięgę odzianego, takie piękne rzeczy namalowane. Spoglądał raz na na chłopca to znów na rysunki. Widocznie nie wierzył temu jeszcze, bo chwytając za ołówek i papier, podał je Frankowi, mówiąc:

— No masz! kiedyś taki mądry to narysuj — co chcesz!...

Frankowi na widok ołówka oczy się zaświeciły, nawet zapomniał o strachu a uradowany chwycił za ołówek i wprawną ręką rzucił na papier kilka kresek. Komisarz z podziwieniem i oburzeniem zarazem, spostrzegał, jak z pod ręki chłopaka, jego własny zarysowywał się wizerunek. Pokiwał kilka razy głową, a trzymając w ręku fałszowany banknot, szepnął po cichu.

— I do czego to doszło! szkoły dziś na to powstają, aby w świecie więcej zbrodni się działo. O! żeby zamiast do szkoły został przy pługu jeden z drugim, nie kwalifikowałby się dziś na szubienicę!... Draśnięty widocznie w swoich przekonaniach komisarz krasnopolski, mając i tak już nad sobą jednego takiego Franka przełożonym, który zapewne nieraz dał mu się już dobrzo we znaki, zapomniał o winnem uznaniu dla siermiężnego artysty, wyrwał mu papier i sucho dodał:

— Dosyć!...

Zaraz, łaskawy panie, tylko dokończę...

— Dosyć!.. wrzasnął komisarz — będziesz kończył ale gdzieindziej!...

Sprawa Franka Banara stała się głośną, pisano o niej wiele we wszystkich krajowych

dziennikach. Jeden z organów nie omieszkał, (kierując się widocznie podobną logiką jak pan komisarz krasnopolski), wyzyskać całej sprawy jako dosadny argument przeciwko szkołom ludowym. W artykule pod szumnym tytułem: „Demoralizacya miedzy ludem«... poruszone były wszystkie sprężyny, aby udowodnić, że człowiek prosty najszczęśliwszy, gdy najgłupszy, my zaś — gdy nic sobie z tej jego głupoty nie robimy.

Z końcem września rozpoczęła się kadencya sądów przysięgłych w Tarnowie.., Sprawa Franka nie długo przyszła na porządek dzienny Oskarżyciel na kilkunastu arkuszach rozwodził się na temat owej demoralizacyi ludowej i coraz częstszych zbrodni oszustwa, przeniewierzeń, szerzących się między ludem miejskim. »Surowa jedynie kara może się stać kwaratanną dla tej nowej dżumy!...« były ostatnie słowa oskarżyciela. Franek tymczasem przez ten czas wzrok miał zwrócony na wizerunek cesarza, wiszący na ścianie, a mało co zwracał uwagi na mowę prokuratora. Na zapytania odpowiadał krótko, ale stanowczo: »tak.. ni... albo ja wiem«... i t. d. Jako świadkowie ze wsi stawali profesor wiejski Zawada i jeden włościanin. Matka Franka przybyć nie mogła, bo po zniknięciu syna, a jeszcze bardziej, gdy ją doszła wieść o jego uwięzieniu, tak mocno zasłabła na mózg, że odtąd nigdy już nie wyzdrowiała ale do końca życia została — »Martą waryatką!« — jak ją odtąd we wsi nazywano.

Zawada przedstawił przed sądem Franka jako bardzo pilnego i pracowitego chłopca, który koniecznie rwał się do szkoły.

Wzruszającą była scena, gdy Zawada z sali sądowej płaczącego Franka przygarnął do piersi i pocałował. W sali słyszeć można było słowa jakie powiedział do Franka na odchodnem.

— Tyś niewinny!.. nie płacz dziecko.

— Obrońca słabo bronił całej sprawy. Cała jego obrona zasadzała się na prośbie o łaskę dla małoletniego — gdy tymczasem Franek łaski nie potrzebował tylko sprawiedliwości. Sąd przysięgłych większością głosów uznał go winnym. Trybunał skazał Franka na zasadzie odpowiedniego paragrafu na karę dziewięcioletniego ciężkiego więzienia, obostrzonego postem i suszeniem. Franek ze łzami w oczach przyjął ten wyrok. Post i suszenie nie bardzo go tam przestraszyły, bo od urodzenia się do nich przyzwyczaił; ale dziewięć lat matki nie widzieć, o której nawet nie wiedział, że jest słabą, dziewięć lat świata bożego, a może i papieru i ołówka nie oglądać, to było dla niego tak smutnem i strasznem, że wychodząc z sądu sam siebie zapytał:

— A komisarz mi mówił, że pójdę na szubienicę?.. — i dziwił się Franek, że ludzie dla niego tak byli łaskawi.

Straszne to były dla niego te pierwsze chwile w więzieniu. W ciemnej, wilgotnej posadzony celi, kędy promień światła, z za wysokiego muru, tylko na godzinkę w południe przez małe kraty wlatywał, siedział jak nie żywy w aresztanckim ubraniu. Nigdy się nie rozweselił, nigdy oczu nie podniósł wesołych, chociaż koło niego było dzikie życie i wesołość. Sześciu zawodowych złodziei i rabusiów z końca świata, zagnanych tutaj za różne kradzieży i rozboje, byli jego towarzyszami więziennemi. Ale jakżeż inni od niego?.! Nie jeden był taki, co nie mając z czego żyć a przytem i próżniak z urodzenia — kradł na urząd, udało się — to dobrze, nie udało się — to drugie dobrze; dostał się na zimę do więzienia — to jakby wygrał na loteryi!..

Były to ofiary ciemnoty, nędzy i namiętności!.. Jeden Franek był między niemi jak ofiara — życia!

Koledzy po witrychu, widząc go takim smutnym i zadumanym, chcieli go rozweselić i przekonać, że tutaj znów tak źle nie jest, jak się wydaje, ale Franek trzymał się na uboczu i bał się ich jak ognia. „Jasiek łysy« chciał go nauczyć paru kawałków ze swojej praktyki, — ze wzgardą odepchnął go Franek od siebie. Obrażony Jasiek dał mu sójkę pod bok.

— A szanuj, łotrze, starszego! Dopieroś tu kilka dni, a ja tu już wnetki emeryturę dostanę... to słuchaj sowiździrzale!.. piernikarzu! bo będzie źle — i dał mu znów szturchańca, aby wziął na rozum... Franek się rozpłakał. Więźniowie wszyscy zaczęli się śmiać z niego, wziął go dopiero w obronę jakiś stary człowiek o pomarszczonej twarzy, sam jeden ponuro siedzący na boku więziennej celi. Stary, ile razy dokuczano Frankowi, brał go w obronę, a widać, że go się inni bali, bo gdy Franek siadł przy nim, nikt mu nic złego nie zrobił.

I tak zbiegały dnie i miesiące Frankowi. Nic się nie zmienił, tylko że oczy mu głębiej zapadły na twarzy, a cera przybrała śniado-żółty kolor. Odtąd siadał zawsze koło starego więźnia, którego zwano »Gardzicielem«, bo jak mówiono zanim dobrał się do kieszeni, pierwej pacyentowi zaglądał pod gardło, żeby był spokojniejszy. Kucharka przyczyniła się głównie do tego, że siedział w tem więzieniu. Skazany początkowo na śmierć, ułaskawiony potem, dożywotnie odsiadywał tu więzienie. Ale widać, że pod koniec życia żałował za swoje występki, bo wyraz jego twarzy, siwe włosy spadające na pomarszczone czoło, malowały pełen wyraz skruchy. Franka odrazu pokochał, rozmawiał z nim często, dopytywał się o jego życie.

Pewnego późnego wieczora, gdy inni więźniowie zajęci byli opowiadaniem swoich przygód, Franek siedział koło starca, a ten mu różne zadawał pytania.

— No! a skądżeś ty dziecko — z pod Tarnowa?..

— Nie, z pod Ropczyc — odpowiedział Franek.

— Z pod Ropczyc?... powtórzył zadziwiony więzień — no, a z jakiej wsi?

— E! nie znacie, ojcze. Tę wieś to nazywają Porębą, bo tam lasy były kiedyś wielkie, a teraz wyrąbano wszystko. Starzec drgnął cały, twarz jego dziwny przybrała wyraz trwogi i zmięszania, prędko zadał znów Frankowi pytanie.

— A rodziców masz?

— Matkę tylko starą.

— Starą? a bardzo starą?

— Siwieje już matczysko...

— A jak się pisze?

— Marta Banar! — Słysząc to nazwisko, starzec przechylił się w tył, oczy zakrył rękami a z piersi wyleciał mu przytłumiony jęk boleści. Franek nie wiedział, co by to miało znaczyć, starzec tymczasem powtarzał tylko ostatnie słowa Franka.

— Banar?... Banar?... może inaczej?...

— Co wam to, ojcze? — zapytał przestraszony Franek.

— Nic... nic!.. mów dalej! spokojniejszym głosem ciągnął więzień, przygryzając wargi, rękawem ocierał łzy ukradkiem, widocznie nie chciał dać poznać nic chłopakowi, że ostatnie jego słowa tak go do żywego dotknęły. Franek nie dostrzegł zmiany jaka zaszła na twarzy starca, bo w izbie było ciemno, a starzec sam uspakajał go ciągle: że mu nic nie jest, w środku tylko coś go boli, ale to przejdzie — być może, że to kurcze jakie? — Ojoj!... mój Boże!.. dało się słyszeć tylko od czasu do czasu, ale wtenczas starzec nic więcej nie mówił, tylko na te kurcze narzekał. Franek opowiadał do końca, tylko jak starzec zajęczał, pytał go zaraz.

— Tak źle wam, ojcze?

— Oj! źle moje dziecko! tu mnie boli. Kurcze czy coś...

Od tej chwili upłynęło kilka miesięcy; starzec opiekował się chłopakiem jeszcze gorliwiej, ale nie długo to trwało, bo wkrótce opiekun Franka zasłabł ciężko, a nawet przyszedł doktór i chorego kazał przenieść do innej celi. Odtąd zaczęły się prawdziwie przykre i bolesne dni dla Franka. Dokuczano mu, żartowano i pastwiono się nad chłopakiem, a on znosił to wszystko cierpliwie i żałował tylko, że niema starca, bo by się był ujął za nim z pewnością.

Jednego dnia rano, jeszcze słońce nie zeszło, jak drzwi więzienne się otworzyły, i wszedł na salę dozorca. Zbudził Franka, kazał mu się ubrać i iść za sobą. Zdziwiony i przestraszony chłopak bluzę tylko narzucił i udał się za dozorcą. Przeszli przez długi korytarz i weszli do jakiej ciemnej celki. U góry świeciła się blado zawieszona lampa, na boku zaś stało łóżko, a na nim leżał umierający człowiek. Jęki cierpiącego przerywały głuchą ciszę. Obok stał ksiądz, który dopiero co pojednał chorego z Panem Bogiem.

Franek poznał odrazu w umierającym człowieku poczciwego starca, który się nim tak szczerze opiekował w więzieniu. Z płaczem rzucił się do łóżka i ze łzami całował stygnące ręce jego. Starzec zobaczywszy chłopaka, ostatnich sił wydobył, podniósł się z łoża, przycisnął go do piersi i ostatnim głosem wyjęknął.

— Przebacz mi!.. Franek!.. to... twój ojciec u. mie... ra... o... Bo... — i upadł na łóżko. Przez chwile oddychał jeszcze zwolna, ale mówić już nie mógł, tylko mu coś harczało w gardle. Ostatni wzrok zwrócił na Franka, rękę chciał podnieść, ale mu upadła. Drgnął tylko — i umarł.

Franek pierwszy raz w życiu poznał ojca i pożegnał... Chwilę pozwolono mu być

przy łożu zmarłego — po chwili, ten sam dozorca odprowadził go do więzienia.

Franek długo żałował — dobrego starca!...

* * *

Dziewięć lat minęło jak chwilka. Ale dla Franka były one wiekiem cierpienia i dolegliwości, do których nie mógł się przyzwyczaić. Wszedł do więzienia młody, jeźli nie czerstwy i rumiany, to zdrów przecie na ciele, przytem rozwinięty i sprytny, a wychodził po dziewięciu latach złamany, 24-letni — starzec. Ani podobny do tamtego Franka!... Oczy niebieskie, ruchliwe, duże jak szmaragdy, ugrzęzły gdzieś w mosiężnej twarzy i straciły ten dawny wyraz życia. Czoło, co dawniej odróżniało go od innych rówieśników i zdradzało rzadkie zdolności, dziś dziwnie pomarszczone, przybrało ponury wyraz zgrozy albo trwogi, a całej twarzy nadawało ten charakter, że każdy, ktoby spojrzał na tego młodzieńca, powiedziałby z pewnością:

— Wyszedł z więzienia teraz, albo chodzi zbrodniarzem po świecie!

A przecież Franek pełną piersią zaczerpnął swieżego powietrza i pierwszy okrzyk jaki mu się wyrwał, gdy opuszczał więzienie — był:

— Do matki!...

Wieczór już zachodził śnieżny, grudniowy. Drogą, wiodącą z miasteczka do Poręby, podpierając się na kiju, szedł wychudły, zbladły Franek, a jeżeli czasem twarz mu bardziej się ożywiła i nabrała koloru, to wtenczas, gdy na myśl mu przyszła stara matka, którą po dziewięciu latach zobaczy; padnie jej do nóg, uściska, przeprosi... Szedł przyspieszonym krokiem, na wzgórku stanął. Przed nim roztaczała się wioska rodzinna, z chat świeciły ognie; z Marcinowej chaty błyszczało także światełko... Frankowi krew żywiej popłynęła

— A więc żyje!... — wyleciało mu z piersi i przyspieszył kroku.

Marta żyła. Ale nie była to już ta sama rządna, gospodarna kobieta, jaką ją znał Franek i jaką ją pożegnał — ale była to Marta waryatka! Po tylu latach nieszczęśliwego życia, gdy ją ludzie odepchnęli, syn opuścił i za złodziejstwo dostał się do więzienia, zachorowała i nigdy już nie wyszła z tej choroby. Ludzie co dawniej jej nie cierpieli, widząc ją nieszczęśliwą, szli jej teraz z pomocą. Chodziła po wsi, śpiewała, gospodarze dawali jej jedzenie, odzież; tylko pieniędzy jej nie dawali, bo się ich bała brać do ręki. I tak przeżyła lat dziewięć w tej samej chacie, tylko bez Franka. W Porębie pozmieniało się także bardzo od tej chwili, jak ją Franek opuścił. Wielu umarło, wielu się urodziło... Umarł poczciwy Adam Zawada w trzy lata po uwięzieniu Franka. Choroba piersiowa, która rozwinęła się z gwałtowną szybkością, a której cichy pracownik nie miał sposobności niczem powstrzymać, podcięła pełny kłos ofiarnego życia. We dworze dziedzicem był p. Wilsen, który na licytacyi po dawnym właścicielu kupił Porębę i z »Verwaldsratha« stał się »Gutsbezitzerem«.

Kilka chwil nie upłynęło, a Franek zszedł już z górki i stanął przed chatą. Poznał ją bo nic się nie zmieniła przez tyle lat, nawet te same rysunki gdzie niegdzie zdobiły jej ściany, to samo drzewo stało przed chatą, gdzie siadywała sójka, te same drzwi, okna... Wszystko to samo, tylko on inny!... — a matka?...

Stanął przed chatą z bijącem ze wzruszenia sercem, głowę do okienka przyłożył i przytrzymawszy oddech w piersi — patrzał.

Na kominie łuczywa się paliły. Matka stała i śpiewała jakąś piosnkę. Nie poznał jej Franek. Włosy rozczochrane spadały na twarz pomarszczoną — czarną prawie. Oczy dziko świeciły z podełba, śpiewała dzikim głosem, czasem się śmiała, przekrzywiając usta okropnie; to znów jakby płakała. Przez okno na dwór wylatywał śpiew jej.

Franek stał i słuchał:

Tam na dworze zawieja... zawieja!
Noc pochmurna i dzika,
Miałam męża złodzieja... złodzieja!...
Chi.. cha!..

Tam na dworze dzień jasny... dzień jasny!..
I słoneczko wciąż świta,
Ouj! złodziejem syn własny.. syn własny!..
Chi.. cha!..

Wykrzywiała się na różne strony, śpiewając tę piosnkę, a twarz jej cała dziwnie była groźną i przejmującą. Oświetlona od płonącego łuczywa, stanęła jak upiór w oczach Franka. Drżał cały i nie rozumiał tego

wszystkiego — patrzał i słuchał!.. Ani przypuszczał, że matka jego waryatka, prędzejby myślał, że tak za nim tęskni i taka od smutku zmieniona. Jak mnie zobaczy — myślał sobie — odżyje poczciwe matczysko! — i rzucił się do drzwi.

Drzwi się otwarły, Franek stanął we drzwiach...

— A kto tam? — piskliwym głosem spytała Marta, patrząc na przybyłego. Nie poznała go zupełnie! Franek już miał się rzucić do nóg matki, gdy głos jej dziki przybił go do muru.

— Co chcesz człowiecze od waryatki — he? Zastaram ja już do miłości... za stara! — la la!.. la la!.. ouj!.. — skakała i tańczyła!

Franek w jednej chwili poznał teraz wszystko. Przechylił głowę, ręce w tył zarzucił i kołysał się całem ciałem. Jęk mu wylatywał, przytłumiony z piersi.

— Matko!.. to ja... twój Franek!.. — Ale Marta nie słyszała, co mówił, tylko powtarzała swoje, śmiejąc się strasznie.

— Może chcesz, bym ci wróżyła co? Będziesz miał żonę złodziejkę... syna złodzieja... córkę złodziejkę!.. — I skakała stara przed ogniem, robiąc różne giesty i ruchy. Franek nic już tego nie słyszał, o niczem nie wiedział. W oczach ciemno mu się zrobiło, ciało zaczęło mu drgać, zimny pot wystąpił mu na czoło, a zsuwając się całem ciałem po ścianie, upadł na ziemię.

— Biednyś ty, biedy!.. — wołała stara, może ci wody dać? za młodyś ty robaczku, żeby ci śmierć w oczy zaglądała. — Pobiegła po wodę i zaczęła go oblewać. Obnażyła mu piersi, na piersiach młodzieńca wisiał czarny szkaplerz. Starej oczy się zaiskrzyły, złapała za sznurek i zerwała go z szyi leżącego.

— Ukradłeś złodzieju!.. ukradłeś!.. to mojego Franka!.. wołała na głos, ściskając w rękach szkaplerz.

Franek oczy otworzył i jęknął przez wargi:

— Matko!.. to Franek... ja!..

Matka patrzała to na leżącego chłopaka, to na szkaplerz znowu, nie rozumiała, co by znaczyć miało to słowa: »Franek«, które w tej chwili usłyszała. Obraz tego »Franka« stanął jej odrazu w oczach, przypomniała sobie widocznie jego rysy, bo poznała w leżącym — syna. Rzuciła się do niego, zaczęła go szarpać, nie płakała już, ale śmiała się i wyła na przemiany.

— To ty Franek?.. ten złodziej!.. — Ale Franek słowa nie mógł przemówić. Położyła go na łóżku i okładała wodą. Spij złodzieju!.. — wołała, gdy się rzucał na łóżku. Śpiewała, płakała i śmiała się, a Franek majaczył. Czasem tylko oczy otworzył i przytomniej jęknął.

— Matko!..

Nad ranem wzmogła się gorączka i nie ustąpiła odtąd. Franek leżał prawie bezprzytomny. Zapalenie widocznie rzuciło się na mózg bo razem z matką bredzili od rzeczy

Był to dom waryatów!..

Pod wieczór wypieki śmiertelne wybiegły Frankowi na lica, przed śmiercią zaczął się rzucać, że go ledwie waryatka utrzymać mogła.

— Puść mnie matuś! puść! — wołał — muszę sobie wymalować grób jak Grządziela przed śmiercią?..

— Pieniądzy ci się chce — he? złodzieju!.. a pójdziesz do kozy!.. i trzymała go, cmokając ustami.

Noc zapadła. Na łóżku w ubogiej chacie swej matki waryatki leżał zimny, jak lód — Franek artysta. Stara matka siedziała koło niego i śpiewała — gorzej jak dziady kościelne! aż usnęła ze zmęczenia i z głodu.

Tak ją odnalazł jakiś włościanin porębski na drugi dzień rano, gdy przechodził koło chaty. Spała mając głowę opartą na zimnej piersi syna. Niedługo też rozeszła się wieść po wsi, że „Franek złodziej" powrócił i umarł na progu matczynej chaty. Cała wieś szła tam, aby zobaczyć Franka złodzieja i politować waryatkę.

Odbył się pogrzeb Franka... Poniesiono go na wzgórek, od bramy cmentarnej niósł trumnę między innemi i Walenty, i jakoś mu smutnie z twarzy patrzało. Dalej za trumną szła, śpiewając swą piosnkę, Marta. Baby ją pocieszały:

— Martusiu, biedacyno!.. Pan Bóg mu przebaczy ino do cyścia pójdzie... Wieczny mu odpoczynek!.. Światłość wiekuista!..

Franka pochowano do grobu, obok innych Franków. A gdy się pytano we wiosce:

— Czyj to był pogrzeb? — odpowiadali ludzie:

— Franka złodzieja!.. — a nikt nie powiedział — Franka artysty!

Moralność w polityce

VI.

(Dokończenie).

W obecnym stanie Europy, jeżeli nie wybuchnie niespodzianie wojna, której się wszyscy lękają, — sama siła rzeczy doprowadzi do rozbrojenia. Będzie to samo przez się rozbrojenie proporcyonalne, które dla tego nie doszło jeszcze do skutku, że państwa w tej sprawie zainteresowane nie doszły jeszcze do równomiernego poziomu finansowego. Gdy państwa bogatsze zrujnują się na koszta uzbrojenia tak, jak się już zrujnowały państwa mniej bogate, wtedy kwestya rozbrojenia wysunie się sama z siebie naprzód i, według wszelkiego prawdopobieństwa, zostanie przyjętą. Pogłoski krążą, iż Ojciec Św. ma zamiar przedstawić ją w niedalekiej przyszłości. Być może; takie wszakże rozbrojenie, jakkolwiek by ulżyło ciężaru klasom obarczonym podatkami, w niczem by stanu rzeczy nie zmieniło. Pokój nic na tem nie zyska, nawet gdyby rozbrojenia dokonano wszędzie szczerze i z dobrą wiarą. Rzeczywista ilość wojska, utrzymującego pokój, zmniejszy się dajmy na to do połowy, to znaczy, że Niemcy, zamiast 522 000 żołnierzy, utrzymywać ich będą pod bronią tylko 261.000, Francya zamiast 571.000, — 285.000, Moskwa zamiast 895.000 447.500. Reszty, to znaczy armii rezerwowych, *landwehrów*, *landsturmów*, pospolitego ruszenia, systemów poboru i prowiantowania, kolei strategicznych, fortec, magazynów, i t. d. nie dotknie się, chyba, w celu wydoskonalenie ich. O! doskonalenie nie wstrzyma się, przeciwnie, nabierze nowej siły. Zmniejszenie ilości wojska pod bronią dostarczy rządom pieniędzy gotowych, które pospieszą obrócić na opłacanie wynalazków, fabrykatów, zabudowań i t. d.

Od lat kilku poczęto wiele rozprawiać nad „arbitrażem"; wszystko, co było do powiedzenia, powiedziano o korzyściach, jakieby przedstawiało rozwiązywanie nieporozumień pomiędzy rządami za pomocą pośrednictwa sądowego, do któregoby strony obowiązane były się udać zanim, by się broni chwyciły; kolega nasz i przyjaciel, p. Michał Revon, napisał w tej treści piękne dziełko, ugruntowane na fachowej wiedzy uczonego, umocnione rozumowaniem przekonania głębokiego i okraszone stylem świetnym. Po tem wszystkiem, uważać by można, że sprawa ta jest wyczerpaną, gdyby nie jedna luka, której nikt nie odważył się zapełnić, a która wszakże, we wszystkiem co się tyczy arbitrażu międzynarodowego, jest punktem chyba najważniejszym, tj gwarancya moralna.

Przypuściwszy, że wszystkie rządy zgodziłyby się na ustanowienie trybunału, które by miało za zadanie sądzenie sporów pomiędzy narodami, jakim sposobem zabezpieczyć wykonanie wyroków?

That is the question.

Czy jest jaki środek do przymuszenia strony, któraby nie chciała się poddać postanowieniom sądu?

Jakie zasady moralne wzmiankowany trybunał stosowałby w swych sądach: czy te, które obejmują kodeksy cywilny i karny, czy te, które się głoszą w kościołach, czy też jedne i drugie, zwracając się równocześnie do rozumu i do serca?

Ponieważ w kwestyach politycznych rząd nie ogląda się ani na jedno ani na drugie, czy znajdzie się gabinet, któryby się zrzekł tego przywileju i poddał się wyrokowi niekorzystnemu dla siebie, w razie gdyby się czuł na siłach rozstrzygnięcia danego sporu według swego zdania, podporządkowując go racyi stanu! Wątpliwość ta tyczy się głównie Europy. W Ameryce uznano już urzędownie zasadę To wiele. Jestto krok naprzód, jakkolwiek między zasadą a zastosowaniem istnieje nieraz przestrzeń nieprzebyta. Wolno wszakże przypuścić, że przestrzeń ta, jakkolwiek wielka, dałaby się przebyć w Ameryce. Stany Nowego Świata utworzone niedawno, nie składają się z części tak różnorodnych jak w Europie, gdzie rzadkim jest kraj, nie zawierający w swem łonie jednej, jeżeli nie kilka Irlandyi. Weźmy, dajmy na to, Turcyę europejską. Po stopniowych amputacyach, jakich dokonano na niej, składa się ona z trzech części razem sklejonych: z Tracyi, Macedonii i Epiru, które posiada prawem zdobyczy. Gdyby te części zbuntowały się i z orężem w dłoni upomniały się o niepodległość, jaką postawę w obec zbuntowanych przybrałby trybunał rozjemczy? Coby jeszcze uczynił, gdyby Rosya trybunał uznała, a Polska powstała przeciw jej panowaniu? Podobne kwestye przedstawiają się również w Niemczech,

w Austryi, w Hiszpanii, w Belgii: tu Polacy, tam Duńczycy, gdzieindziej Włosi, Grecy, Słowianie, Rumuni, Finlandczycy, sami nawet Niemcy mogliby pokój zakłócić i zanieść swą sprawę przed oblicze trybunału, dopominając się o sprawiedliwość. Jakbyż on sobie dał radę? Czy oświadczyłby się za rządem, czy za buntownikami? Gdyby się oświadczył za rządem, w Turcyi n. p., jakieby racye dał Trakom, Macedończykom i Epiryjczykom wobec Rumunii, Serbii i Bułgaryi, które zrzuciły jarzmo ottomańskie? Czy wyperswadowałby im, że powinni się poświęcić na korzyść narodów cieszących się wolnością i niepodległością?

Ile spraw, tyle trudności dla trybunału rozjemczego międzynarodowego, trudności nieprzezwyciężonych, o ile się nie naruszy moralności politycznej i nie ustanowi się jej przedewszystkiem.

W celu usunięcia tych trudności, *Liga międzynarodowa Pokoju i Wolności,* która wzięła za godło: *Si vis pacem para libertatem et justitiam,* zapisała na pierwszem miejscu w swym programie: Federacyę narodów.

Federacyę poleca rozumowi fakt jeden, jedyny w historyi: traktat Brunneński, jedyny który zawarty w 1315 r. w celu utworzenia państwa federacyjnego, przetrwał po dziś dzień. Traktat ten zawiera klauzulę tyczącą się arbitrażu. Owa federacya, według zdania Karl'a von Rotteck'a »jest duchem opiekuńczym wolności ogólnej« *(Schutzgeist der allgemeinen Freiheit)* Żadna forma rządu nie nadaje się lepiej od federacyi do załatwienia sporów za pośrednictwem sądu rozjemczego. Aby być wszakże skuteczną, wymaga pewnego stopnia doskonałości, jak nas poucza doświadczenie historyczne, wysnute ze starożytnej Grecyi, z Szwajcaryi, ze Stanów Zjednoczonych. Bezwątpienia forma związkowa oddałaby ludzkości wielkie przysługi w tem, co się tyczy pokoju i cywilizacyi, lecz pod tym jednym warunkiem, że państwa, przystępujące do związku, posiadały jeden mianownik pod wszelkiemi względami, a przedewszystkiem pod względew interesów moralnych.

Na tym punkcie objaśni nas przykład Szwajcaryi.

Związek helwecki nie wyszedł z łona ludzkości, jak Minerwa z głowy Jowisza. W przeszłości, nie był on takim jakim go widzimy obecnie. W dziejach jego napotykają się fakty naganne: wojny międzykantonalne, zabory, ucisk i t. p. Punkt wyjścia wszakże był praktyczny i sprawiedliwy; stosując się do niego, wydoskonalił on z upływem czasu swą organizacyę i uregulował stosunki między państewkami, wchodzącemi w skład jego. Utworzyła się całość harmonijna i uczciwa, przedewszystkiem uczciwa; utworzyło się państwo, nie posługujące się podwójną miarą, inną dla stosunków wewnętrznych, inną dla interesów zewnętrznych, — nie uciekające się do podstępów, o których wspominaliśmy wyżej.

Podobne państwo czyż mogłoby sfederować się z innem, uciekającem się do nich?

Jakież byłoby położenie Szwajcaryi, gdyby ona, szanująca traktaty, szanująca autonomię osoby ludzkiej zarówno w swych obywatelach jak i w osobistościach zbiorowych narodowości, które w jej skład wchodzą, — wymierzająca sprawiedliwość bez myśli ukrytej, kierująca nauczaniem i wychowaniem publicznem tak aby stwarzały ludzi wolnych i rozumiejących wolność, kontrolująca swych mężów stanu i czyniąca z nich takich Ruchonnet'ów, — gdyby ona, ta Szwajcarya złączyła się federacyjnie z państwem postępującem przeciwnie?

Mężowie stanu dają miarę wartości moralnej narodu. Owoż zważywszy organizacyę związkową Helwecyi, jest absolutnem niepodobieństwem wyobrazić sobie męża stanu szwajcarskiego bądź to organizującego drenowania kapitałów jakiego przedsiębiorstwa przemysłowego w celu przygotowania »pomyślnych« wyborów, bądź przymuszającego gwałtownemi środkami mieszkańców którego kantonu do zapomnienia języka ojczystego i zmiany religii, w celu ukrócenia nieporządków, — bądź posyłającego emissarjuszów do Francyi, n. p. dla zamordowania p. Méline'a, aby usunąć tego patryotę francuskiego, zaciekłego stronnika protekcyonizmu, szkodliwego dla handlu i przemysłu Szwajcaryi. Niemożliwością jest, powtarzamy, aby coś podobnego wyszło ze Szwajcaryi takiej jaką się przedstawia dzisiaj, pilnującej swych własnych interesów, nie zadzierającej z nikim, nie marzącej o zdobyczach i nie przygotowującej, za pośrednictwem tajnych ajencyi w obcych krajach, tryumfów dla swych wojsk. A zatem, niepodobieństwem

jest dla niej wejść w związek federacyjny z państwami rządzącemi się inaczej.

Federacya narodów, jasne nasze marzenie, nas, marzycieli utopistów członków i stronników *Ligi międzynarodowej Pokoju i Wolności*, nie jest jednak rzeczą niemożliwą. Nie jest niemożliwą, ponieważ istnieje i dawała i daje dowody swej żywotności. Istnieje, klasyczna i wzorowa, w Szwajcaryi i w Ameryce. Oprócz Szwajcaryi i Ameryki, dwa państwa skandynawskie, Szwecya i Norwegia, są związane federacyjnie. Czyż Anglia ze swemi koloniami, rozproszenemi po kuli ziemskiej i rządzącemi się niepodległe, nie przedstawia osnowy wspaniałej federacyi? A Austrya?.. Przed kilku laty, Austrya znajdywała się nad brzegiem przepaści, w którą byłaby prawdopodobnie runęła, gdyby nie ocaliła jej federacya. Federacya narzuca się ludom zamieszkającym półwysep Bałkański.

Ona to, owo marzenie utopistów, narzuca się Europie całej; Europa bowiem, stoczona działalnością gabinetów wszelkiego rodzaju, odpowiedzialnych lub nieodpowiedzialnych, przeżarta chorobami politycznemi i społecznemi, oraz uzbrojona po zęby — wyczerpała wszelkie środki chytrości i podstępu.

Chytrość, traktująca z góry moralność, nie wystarcza już.

Nadchodzi chwila stanowcza, w której dla odwrócenia cierpień i ciosów, któremi jest brzemienną, należy zastąpić chytrość moralnością, tą moralnością prostą, prawą, zwyczajną, kierującą postępowaniem jednostek i wszystkim nam znaną.

Moralność w stosunkach międzynarodowych, jestto macierz rodząca moralność w stosunkach społecznych.

Moralność w wolności.

Moralność w sprawiedliwości.

Moralność wszędzie i dla wszystkich!

Ażeby nastała możliwie najprędzej i zajęła miejsce sobie przynależne, my, którzy mamy do naszego rozporządzenia tylko środki moralne, proponujemy uchwalenie rezolucyi następującej:

Zważywszy, iż moralność jest jedna i niepodzielna:

Zważywszy, iż wyrazem moralności jest sprawiedliwość i że sprawiedliwość powinna przewodniczyć stosunkom publicznym jak i prywatnym;

Zważywszy, iż bez sprawiedliwości opartej na moralności, dzieło pokoju politycznego i społecznego dojść nie może do skutku:

Kongres Ligi międzynarodowej Wolności i Pokoju oświadcza, iż jest rzeczą niezbędną wykazać opinii publicznej konieczność podporządkowania moralności polityki narodowej i międzynarodowej, oraz skierowania w tym sensie najczynniejszej propagandy.

ROZMAITOŚCI.

Polskie Towarzystwo handlowo-geograficzne wzniosło na ręce posła Szczepanowskiego petycyę do Delegacyi wspólnych z prośbą:

Wysokie c. k. delegacye raczą udzielić Wysokiemu Ministerstwu spraw zewnętrznych do uwzględnienia następującą rezolucyę:

1. Wysokie c. k. Delegacye uznają konieczność, wzięcia wogóle w obronę w drodze dyplomatycznej austro-węgierskich poddanych w Brazylii.

Szczególnie jest godnem polecenia ustanowienie c. i k. jeneralnego konsulatu w Curytybie, ponieważ miasto to stanowi główną miejscowość najludniejszych galicyjsko-polskich kolonii w Brazylii.

3. Osoba mianowana c. i k. konsulem w Curytybie winna znać język polski.

W tym celu poleciłby wydział polskiego Towarzystwa handlowo-geograficznego jako najodpowiedniejszą osobistość znakomitego znawcę brazylijskich stosunków i długoletniego kierownika polskich kolonii w prowincyi Parana p. Edmunda Saporskiego, inżyniera w Curytybie, rodem ze Szląska.

Za Wydział polskiego handlowo-geograficznego Towarzystwa we Lwowie.

Dyrektor: *Dr. Stan. Kłobukowski* m. p.
Prezes: *Tad. hr. Dzieduszycki* m. p.

Wyścig kolarzy polskich z Krakowa do Lwowa, na przestrzeni 338,5 km. odbył się d. 7 i 8 b. m. Z 27 jeźdźców zapisanych z powodu niepogody stanęło tylko 18. Z tych 8 przybyło do Lwowa na kołotokach, inni dojechali koleją. Pierwszym był Warszawiak, który przybył do kresu w godzin 20, min 19 i sek. 40, drugim stanął Krakowiak, trzecim Lwowianin.

Rewizye policyjne i aresztowania liczne odbyły się we Lwowie b. m. Aresztowani pp. Dumyn, wydawca Nowej Epoki, Ska-

jewski i kilku innych po kilku dniach zostali wypuszczeni.

Zgromadzenie ludowe, zwołane przez stowarzyszenie »Proletaryat« na d. 9 b. m. na plac publiczny »Castrum« we Lwowie, zostało przez c. k. policyę zakazanem ze względu na publiczne bezpieczeństwo.

Inspektorem krajowym szkół mianowany został p. Dziedzicki, dotychczasowy dyrektor seminaryum nauczycielskiego we Lwowie.

Sprawę „Odbudowania Polski“ bardzo interesująco, choć bardzo nieumiejętnie i niesmacznie omawia *Hałyczanin* w artykule wstępnym nru 190.

Kongres międzynarodowy przyjaciół pokoju odbył się w Antwerpii w dniach od 27 sierpnia do 1 b. m. Rezultatem kongresu są piękne westchnienia, wspaniała uczta i słodkie toasty.

1.500.000 guldenów zapomogi dla głodnych urzędników Austryi już rozdzielono. Pomimo pośpiechu rozdzielono zapomogi tak umiejętnie, że głodni... pozostali głodnymi.

Docentem prywatnym filologii słowiańskiej na uniwersytecie Jagiellońskim mianowany został dr. Marcin Zdzichowiecki.

Delegacya rady muzealnej w Rapperswylu, wysłana dla zwiedzenia grobowca Kościuszki w Zuchwyl koło Solury, znalazła grobowiec starannie, wzorowo utrzymany, a również i drugi pomnik na tymże cmentarzu Rejtana — dobrze utrzymany przez gminę i kościół w Zuchwyl.

Proces o obrazę namiestnika, wytoczony przeciw posłowi Okuniewskiemu przed sąd karny w Kołomyi, był tryumfem dla posła.

Wydział medyczny uniwersytetu lwowskiego został uroczyście d. 9 b. m. otwarty. Katedrę anatomii obejmuje dr. Kadji.

Wiec adwokatów odbędzie się we Lwowie d. 6 i 7 października.

Zjazd sybiraków został zakazany przez c. k. policyę.

Konkurs na pięć obrazków z dziecinnych lub młodzieńczych lat znakomitych ludzi ogłasza redakcya *Małego Światka*, pisma dla dzieci i młodzieży, wychodzącego we Lwowie. Bohaterami opowiadań mają być Polacy lub Polki. Wszystkie pięć obrazków razem nie powinny przekroczyć jednego arkusza druku. Nagroda 50 zł: r. Termin 31 listopada b. r. Adres redakcyi: we Lwowie, plac Maryacki l. 10.

Galicko-Russkij Wiestnik, miesięcznik, zaczął wychodzić w Petersburgu z tendencyą nawskróś moskiewską.

Kolej syberyjska. W dniach 10 i 11 września przyjdzie pierwszy pociąg roboczy północno-zachodniej kolei syberyjskiej od Kurhanu do Omska, przyjechawszy 1006 wiorst; całkowita długość dystansu zachodniego od Czelabińska do brzegu Obi wyniesie 1328 wiorst. Na pozostałej przestrzeni ułozono szyn 150 wiorst, a na Obi budowanym jest most, który będzie ukończony w r. p. Do Obi w każdym razie pociągi będą chodziły w połowie przyszłego lata.

Zmarli: *Helmholtz*, znakomity fizyk i fizjolog niemiecki, zmarł d. 8 b. m. w Berlinie. Helmholtz urodził się w sierpniu 1821 w Poczdamie, kończył medycynę w Berlinie, został w r. 1843 asystentem przy szpitalu »Charité« a w r. 1843 lekarzem wojskowym w Poczdamie. W r. 1848 został nauczycielem anatomii w Berlinie i asystentem przy muzeum anatomicznem, w r. 1849 powołany był jak profesor fizjologii do Królewca, zkąd w r. 1855 powołano go do Bonn, w r. 1858 do Heidelberga, a w r. 1871 na katedrę fizyki do Berlina. Nauka zawdzięcza mu mnóstwo ważnych zdobyczy w dziedzinie optyki, akustyki, fizjologii i anatomii. Z dzieł jego wymieniany: „Ueber die Erhaltung der Kraft“ (1847), odkrycie o szybkości przenoszenia się wrażeń w ośrodkach nerwowych), »Handbuch der physiologischen Optik« (1859 do 1866), „Die Lehre von den Tonempfindungen“ (1872), „Ueber das Sehen des Menschen“ (1855) i wiele innych

Hr. Paryża, głowa rodziny orleańskiej, pretendent do tronu Francyi, zmarł na wygnaniu w Anglii.

Mikołaj Karczewski, weteran z r. 1848, legionista z węgierskiej kampanii pod wodzą jenerała Bema, więzień stanu, zm. 3 b. m. w Kutach.

Wojciech Naprstek, założyciel muzeum przemysłowego i biblioteki publicznej w Pradze czeskiej, niezmordowany pracownik - patryota czeski, weteran walk o wolność narodu, zmarł d. 3 b. m.

Władysław Szwede, zasłużony przemysłowiec i obywatel Warszawy, zmarł w Warszawie.

Dr. Łucyan Zengteler, żołnierz polski z 1863 r., zmarł w Nowym Sączu.

Aleksander Krzyżanowski, oficer legionu polskiego z 1848 r., kapitan wojsk polskich z 1863 r., zmarł we Lwowie.

BIBLIOGRAFIA.

„Przeglądu Poznańskiego“ Nr. 25 zawiera: Polityka: Z krajów okupowanych, p. Wojciecha Szukiewicza. — Hrabia Paryża p. Ay. — Przegląd prasy słowiański p. K.

Literatura i sztuka: Płacz jesienny (wiersz) p. Jerzego Grota. — Listy W. Cybulskiego do Hauki, ogłosił Edward Jelinek. — Z liryki współczesnej p. Dr. Wł. Rabskiego. – Szkoła i wychowanie: Wychowanie narodowe III. (Dokończenie). p. Izabellę Moszczeńską. — Życie społeczne: Listy z wystawy VIII. p Ant. Potockiego. — Kronika londyńska p. Nobody. — Fejleton: Na Wyłomie, przez Sullę. — Notatki statystyczne. — Kronika literacka. — Kronika powszechna. — Bibliografia. — Odpowiedzi Redakcyi. — Składki. — Odcinek: Mogiła p. Maurycego Zycha. Dzieje małżeńskie, III. p. Strindberga, tłum. Empa.

Przegląd emigracyjny Nr. 17. zawiera: Projekt zakupienia panoramy Racławickiej, nap. *Adam Szwajkart.* — Zakład narodowy w Rapperswylu i jubileuszowe posiedzenie. Rady Nadzorczej, nap. *W. L.* — W kwestyi emigracyjnej, nap. *R. Kudrzański.* — W sprawie polskiego biskupa (głos polsko-amerykański). — Rozmaitości. — Wiadomości ekonomiczne. — Odpowiedzi. — Ogłoszenia.

Redakcya i Administracya: Lwów, ulica Garncarska l. 12.

Nr. 9 „Dźwigni", czasopismo przemysłowo handlowego, wyszedł i zawiera: 1. Ze zjazdów naszych we Lwowie. 2. Handel i przemysł ze stanowiska historycznego i zadania jego w dzisiejszej dobie, przez Leopolda Lityńskiego. 3. Wystawa w Poznaniu 1895. 4. W sprawie założenia polskiej fabryki papieru i sukna w W. Ks. Poznańskiem. Głos J. Szymańskiego. 5. Z IV. zjazdu kupców i przemysłowców we Lwowie 6. Kronika »Dźwigni«. 7. Sprawa budowy tanich pomieszkań. Referat Józefa Wczelaka. 8. Sprawozdanie z III. zjazdu kupców i przemysłowców. (Dok.) 9. Projekt nowej ustawy o patentach i ochronie wzorów, tudzież sprawa marek ochronnych. (Dok.) 10. Proszę czytać. Najnowsze świadectwa. Ogłoszenia.

„Ekonomisty polskiego", miesięcznika wychodzącego we Lwowie rok V., wyszedł zeszyt za lipiec i zawiera: 1. St. Szczepanowski: O potrzebie wielkiego przemysłu w Galicyi. Rzecz wygłoszona na III. zjeździe techników polskich. 2. Roman Załoziecki, prof. politechniki: Sprawa wodociągów we Lwowie. 3. Stefan Komornicki: Kilka uwag krytycznych nad spisem narodowościowym w Królestwie pruskiem w r. 1890. 4. Tad. Dwernicki: Uprawa i wyprawa lnu i konopi w Austryi i w Galicyi (dok.) 5. Paweł Brona: Owce, świnie i bydło rogate na wystawie kraj. we Lwowie. 6. Kronika: (Nadzwyczajny zjazd prawników i ekonomistów polskich we Lwowie. — Traktat handlowy z Rosyą. — Najnowsze projekta w dziedzinie przemysłowego i handlowego ustawodawstwa Austryi. — Bilans handlowy Austro-Węgier. — Uchwały III. zjazdu techników polskich).

Odrodzenie Szlązka. Sylwetka pracy narodowej na Szląsku Cieszyńskim skreślił *B. K. Świda*, Cieszyn 1894 r.

W dziesięciu rozdziałach na 78 stronicach małej broszurki umiał p. Świda skreślić obraz żywy i wymowny. Książeczka nie podaje co prawda zbyt ścisłych dat — lecz jest przeniknięta serdecznym nastrojem i trafnym na sprawy szlązkie poglądem. Autor przebiega po krótce dzieje odrodzenia od Stalmacha do dni naszych i wykazuje najważniejsze punkta programu dziś. Chodzi mu głównie o współdziałanie całego społeczeństwa, a głównie Galicyi temu, co jak »Macierz szkolna Cieszyńska« np. daje rękojmię tryumfu żywiołu polskiego w Cieszyńskiem.

W końcu zachęca autor do zwidzania pięknej krainy — bodaj za przykładem Niemców — i do nawiązywania przy wszelkiej sposobności ścisłych stosunków z ludem szlązkim.

Gazeta Młynarska, dwutygodnik, poświęcony sprawom młynarstwa krajowego, zaczęła wychodzić we Lwowie od 1-go b. m. pod kierownictwem *Zygmunta Korosteńskiego.*

Adres Redakcyi: Lwów, plac Maryacki, l. 18.

Od Administracyi.

Upraszamy Szan. Prenumeratorów „Słowa Polskiego" o wczesne nadsyłanie przedpłaty i prosimy o uiszczenie zaległości.

Treść: Przegląd polityczny. — Walka z germanizacyą (szkice z X. Poznańskiego). III. nap. *Izydor.* — Powieść i poezya: Malarz z Poręby (obrazek z życia ludu galicyjskiego nap. *Kroć* (dokończenie). — Moralność w polityce VI. (dokończenie), odczyt *Z. Miłkowskiego.* — Rozmaitości. Bibliografia. Ogłoszenia.

Wydawca i Redaktor odpowiedzialny: **Hipolit Śliwiński.**

Nakładem redakcyi »Słowa Polskiego«. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego.